

# Mariusz Kazańczuk

---

## Opowieści okrutne z jezuickiego rękopisu

---

Teksty Drugie : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 3 (27), 94-106

---

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

# Archiwalia

## Opowieści okrutne z jezuickiego rękopisu

Zaprezentowane poniżej teksty nie były dotąd ogłaszane drukiem. Są to 3 spośród 88 opowieści z rękopiśmiennego zbioru *Historyje świeże i niezwyčajne* (rkps 1301) przechowywanego w Bibliotece PAN w Krakowie. Jak wykazały badania Juliana Krzyżanowskiego, rękopis ten powstał na przełomie XVII i XVIII wieku. Krzyżanowski skrupulatnie określił krąg literackich źródeł wykorzystanych przez anonimowego autora, choć o samej jego osobie nie był w stanie powiedzieć nic konkretnego.<sup>1</sup> Dziś już wiadomo, że rękopis wyszedł spod pióra żyjącego w czasach Augusta II jezuitę z lwowskiego Kolegium Sw. Piotra.<sup>2</sup> Większość opowieści, które weszły w skład *Historyji*, stanowią stresz-

---

<sup>1</sup> J. Krzyżanowski „*Historie świeże i niezwyčajne*”. *Rękopiśmienny zbiór powiastek z epoki saskiej*, „Pamiętnik Literacki” 1930.

O rękopisie pisała także T. Kruszewska-Michałowska (*Narodziny i rozwój nowelistyki w literaturze staropolskiej*, w: *Studia z dawnej literatury czeskiej, słowackiej i polskiej*, Warszawa–Prah 1963, s. 286; *Różne historie. Studium z dziejów nowelistyki staropolskiej*, Wrocław 1965, s. 40–42). 12 opowiadań z *Historyji świeżych i niezwyčajnych* weszło do przygotowanego przez tę autorkę wyboru staropolskiej prozy narracyjnej (*Historie świeże i niezwyčajne*, Warszawa 1961, s. 111–145, 183–184).

<sup>2</sup> Ustalenie tego faktu było możliwe dzięki bliższemu zbadaniu innego rękopisu ze zbiorów Biblioteki Ukraińskiej Akademii Nauk we Lwowie (Zbiory Baworowskich, rkps 707), który okazał się dziełem tej samej osoby – kontynuacją *Historyji świeżych i niezwyčajnych*. (Zob. M. Kazańczuk *Na tropie autora „Historyji świeżych i niezwyčajnych”*. *Dwa jezuickie rękopisy z epoki saskiej*, „Pamiętnik Literacki” 1991 z. 3.)

czenia utworów XVII-wiecznych nowelistów francuskich, głównie Jeana Pierre'a Camusa i François Rosseta.<sup>3</sup> Właśnie streszczenia, a nie przekłady, ponieważ autor rękopisu nawet nie próbował naśladować rozwlekłego, barokowego stylu tych pisarzy. Jego styl, prosty, zwięzły, pełen wyrazów dosadnych i kolokwialnych, bardziej zbliżał się do mowy potocznej niż do ówczesnego języka artystycznego.<sup>4</sup> Wynikało to zapewne z faktu, że zbiór lwowskiego jezuita pomyślany był nie jako dzieło literackie, ale książka spisana po to, aby duchowni użytkownicy biblioteki Kolegium mogli z niej czerpać egzempla do swoich kazań.

Do zainteresowania twórczością Camusa i Rosseta skłoniło polskiego skryptora upodobanie do tematyki określanej dziś jako kryminalno-sensacyjna. Z dzieł obydwu pisarzy wybrał i włączył do swojego rękopisu kilkadziesiąt opowieści o zbrodniach, gwałtach, wszelkiego rodzaju ludzkich występkach i niegodziwościach. (Pod tym samym kątem spenetrował także inne źródła.) Dokonał takiego, a nie innego wyboru, ponieważ interesował go problem grzechu. Grzech stanowi główny temat całego zbioru. Bohaterami poszczególnych opowieści są wielcy grzesznicy przedstawieni w sposób dość schematyczny, ale bynajmniej nie jednowymiarowy. Przykładem tego niech będzie Likaon (opowieść druga), który niczym Gilles de Rais łączy w sobie cechy wojownika — obrońcy słusznej sprawy i psychopatycznego mordercy. Niemniej interesująca jest postać Florydy (opowieść trzecia), ukazana w trakcie wewnętrznej przemiany, na drodze od dobra do zła. Zaczyna panienką, statecznie miłującą zaaprobowanego przez rodziców kawalera, po śmierci narzeczonego chce zostać mniszką, ale zaślepiona pragnieniem zemsty przemienia się w krwiożerczego potwora. Posępny finał jej historii to śmierć samobójcza „bez żadnego żalu za grzechy”.

Wiele z zawartych w rękopisie opowieści wieńczy niezmienny morał: grzeszne życie nie uchodzi nikomu bezkarnie. Z dopustu Bożego grzesznicy karani są jeszcze na tym świecie. Opisane w *Historyjach* straszliwe męki skazańców, zadawane im podczas publicznych egze-

---

<sup>3</sup> Jean Pierre Camus (1582–1652), biskup z Belley, był pisarzem niezwykle płodnym i niegdyś bardzo sławnym. Jego autorstwa są nie tylko liczne zbiory nowel, ale także dzieła teologiczne i romanse. François Rosset zasłynął w swojej epoce jako francuski tłumacz dzieł Ariosta i Cervantesa.

<sup>4</sup> O stylu *Historyji świeżych i niezwykajnych* wypowiedział się obszernie Cz. Hernas (*Barok*, Warszawa 1976, s. 556).

kuji, są przedstawione jako sprawiedliwa i zgodna z wolą Opatrzności kara a zarazem preludium do jeszcze straszliwszych mąk piekielnych. Dzieje się jednak inaczej, kiedy grzesznik (tak jak Irakund, bohater pierwszej opowieści) nawraca się i żałując popełnionej winy przyjmuje z pokorą wydany nań wyrok. Tylko wówczas może uniknąć wiecznego potępienia.

Częstemu podkreślaniu w *Historyjach* nieuchronności i surowości kary spotykającej tych, którzy gwałcą Boże przykazania, przyświeca oczywisty cel dydaktyczny. Te budujące historie mają jednak w sobie coś dwuznacznego. Za przesłaniem religijno-moralnym widać w nich niezdrową fascynację makabrą i okrucieństwem — tak charakterystyczną dla pewnych dzieł ówczesnej literatury i sztuki. Dwoisty sens makabry i okrucieństwa w kulturze tamtych czasów dostrzegął Jean Delumeau, pisząc m. in.:

Zaczęło się od ukrzyżowań, biczowań, od *Złotej legendy* i przypominania męczenników, a skończyło się na rozmyślnie niezdrowych scenach tortur, egzekucji i jatek. Z lekcji moralnej i religijnej ześliznięto się ku przyjemnościom sadystycznym. Makabra w końcu zaczęła być sławiona dla niej samej.<sup>5</sup>

Mając tego świadomość, skłonni dziś jesteśmy w pisarzach takich jak Camus czy Rosset widzieć prekursorów późniejszej „czarnej literatury”. Lecz owi zapomniani noweliści francuscy pisali swoje „opowieści okrutne” ze zgoła odmiennym nastawieniem niż ich następcy, należeli bowiem do twórców, którzy „nie domyślali się, co ich nurtuje i pobudza ich wyobraźnię. Myśleli, że dokonują dzieła pobożnego i budującego, powielając męczarnie i tortury.”<sup>6</sup>

Mariusz Kazańczuk

---

<sup>5</sup> J. Delumeau *Grzech i strach. Poczucie winy w kulturze Zachodu XIII-XVIII w.*, tłum. A. Szymanowski, Warszawa 1994, s. 162.

<sup>6</sup> Ph. Ariès *Człowiek i śmierć*, tłum. E. Bąkowska, Warszawa 1989, s. 368.

## 1 (47)\*

Za czasu Henryka IV w Paryżu był jeden człowiek latami już i godnością bardzo poważny, który mając syna i córkę, wychowywał ich we wszelkiej pociwości, a że nie są ich własne imiona wyrażone, ten co pisze tę historiją, ojca nazwał Arysteuszem, syna Irakundem, a córkę Izabellą, którą wydał za bardzo zacnego kawalera. Irakundus z szkół wyszedszy, w domu się nieco bawić począł, i że go tęskno było, często nawiedzał siostrę swoją, bawiąc się u niej, u której też bywała sąsiadka, jej dobra przyjaciółka Elinda nazwiskiem. Często się tedy zastawali Irakund z Elindą u Izabelli. Z owego częstego widywania zapalił się zły afekt w Irakundzie do Elindy. Począł gruchać koło niej, ale że na pociwą napadł, zawsze go od siebie zbywała. Cóż on czyni? Prosi przez wszytkę miłość wrodzoną siostry, aby mu miłość u Elindy zjednała, taką, jako on sobie życzył. Ona go zaraz skropiła, wystawiając jej pociwość wielką, wiarę ku mężowi, a najbardziej obrazę Boską. Bardzo to nie ukontentowało szalonego owego młodzika, więc sam wręcz z Elindą idzie, upatrzywszy czas, kiedy mógł sam z samą gadać, która niewstydomi wydziwić się nie mogąc, zmiotła go, jako na pociwość należało i przydała, żeby się należało zemścić takiego deshonoru, ale że się kochała w Izabelli, dla niej o zemście nie myśliła, prosząc żeby jej cale zaniechał, w ten sposób gotowa będąc w dobry sposób życzliwości jego korespondować. Tak odprawiony zamknął się, serdecznie płakał na to, że tego dokazać nie mógł. Więc jeszcze nadzieję w siostrze mając upadł jej do nóg i prosił, aby się nad nim zmiłowała, bo powiedział jej, że jeśli tego nie dokaże, wkrótce go przed sobą trupem widzieć będzie. Miękkimi go słowami, widząc jako rozumna, z tej imprezy zbijać poczęła, niebezpieczeństwo mu i życia, i duszy, i honoru reprezentując, ale gdy na to nie dbał, obiecała go o to przed ojcem oskarżyć. Uraził się o to na siostrę Irakundus i tyranką ją zowiąc, dąsał się na nią kilka dni, ale gdy go pasyja znowu zwarła, znowu on siostrę molestować i Elindzie nadszka kiwać począł. Przyszło do tego, że kiedy obiema się przykrzył, Elinda poczęła nie bywać w domu u Izabelli, a siostra ojcu tę wszytką tragediją powiedziała.

---

\* Zaprezentowane tu opowieści w oryginale opatrzone są numerami 47, 50 i 85. Opowieść 47 i 85 polski skryptor zaczerpnął ze zbioru *Les histoires tragiques* F. Rosseta, zaś opowieść 50 prawdopodobnie ze zbioru *Les occurances remarquables* J. P. Camusa.

Rozgniewał się ociec, zawoławszy go, nie tylko go złażał, ale i wybił i czymś mu więcej pogroził, jeżeliby się jeszcze w tym punkcie ważył. Nie poprawiło to Irakunda, ale jeszcze gorszym uczyniło. Całą noc nie śpiąc, a zemstę przeciwko siostrze ważąc, rano porwał się i przyszedł do siostry, kiedy ona w swoim gabinecciku sama z panną u zwierciadła siedząc, kazała się pannie czesać i pleść. Wnicjdzie wszytek posępny i zalterowany. Spytała go Izabella łagodnie, co go tak rano wzbudziło i dokąd się zapuścił i słowa na to nie odpowiedziawszy, jako szalony zbladzszy, siadł w krześle, ważąc coś na sercu. Tymczasem, że była ciężarna Izabella, wysłała pannę do kuchni po śniadanie, żeby się była i sama posiliła, i jego ukontentowała, ale on czym innym ją poczęstował. Widząc, że tylko sam z siostrą został w gabinecie, dobywszy puinału, znicnacka w piersi ją puinałem uderzył i przebił. Krzyknęła bardzo Izabella, on widząc, że żyje, rozjadwszy się, prętkimi sztychami póty ją ku sercu kłół, aż całe zabił, runęła tedy [na] ziemię z krzesła. Czeladź owym runieniem przestraszona, skoczyła do pokoju i znaleźli panią ubitą i jego jeszcze z puinałem ukrwawionym, który jako głupi stanął zadumiały, nie uciekając. Jedni tedy do ciała, a drudzy do niego, związali go zaraz.

A mąż nieszczęściem nadszedł do domu, z którego był wyszedł, jak prętko zobaczył zabitą żonę, omdlał, potym otrzyźwiony, pytał się, co bratu zawiniła, że ją zabił tak okrutnie i gdy się niczego dowiedzieć nie mógł, Irakunda do urzędu i więzienia z owym puinałem odesłał, co sędziowie obaczywszy, żadnego nad nim politowania nie miawszy, miasto więzienia kazali go w głęboki dół wpuścić, który tam był dla wielkich winowajców.

Donieśli ten przypadek królowi, który osądził, że żadnej równej kary nie znajdował na ten kryminał. Ociec osierocony jednym razem, nie śmiał o życie za nim prosić, o to tylko króla prosił, żeby go było cicho w więzieniu stracono dla ohydy domu, ale tego nie uprosił. Dekretowano go, aby przy drzwiach ratusznych rękę mu ucięto, potym żeby kości złamawszy, w koło wpleciono żywo.

Już się był obaczył, ale nie w czas, Irakundus i przez wszytek czas więzienia serdecznie płakał, odważając się na wszytkie katownice, żeby był jednej katowniej sumnienia pozbył. Podziękował tedy za dekret, nazywając go bardzo na siebie łaskawym, sądząc się sam okrutniejszej śmierci. Gdy mu rękę kat uciął, rzekł odważnie:

— Słuszna, że ta ręka odcięta za tak niesłychaną zbrodnią. O, gdyby ją to potkało, niż tę robótkę zrobiła!

Lud dokoła stojący nie mógł się od płaczu utrzymać, patrząc na jego skruchę i odważne na takie katownie serce. Kiedy mu kości łamano, nic nie wołał, tylko *Jezu Maria* i choć mu urząd nakazał, aby go po łamaniu kości nie uduszonego i żywo zostawiono, póki by sam nie umarł, takim jednak przyjęciem dekretu zniewoleni, kazali go prętko udusić.

## 2 (50)

We Francji bardzo zacny szlachcic Charydon przewiskiem miał wielkiego przyjaciela Likaona, urodzenia znacznego i wojownika wielkiego. Tego tak kochał, że tak domu swojego, jako co w domu było, nic mu niezbronnego było. Poczynał sobie w domu Charydona z gustem, jako w swoim własnym. Była u samej Charydowej panna jedna służebna, Lukrecyja imieniem, urody osobiwej, ale cnoty jeszcze osobiwszej. Do tej zabrał złe afekty Likaon i chcąc ją pożycić i prosił, i darował, i obiecywał, aby mu się pozwoliła, ale nic nie wskórał żadnym sposobem, umyślił tedy straszną i niesłychaną odwagą i okrucieństwem tego dostać, czego łagodnością nie mógł, ponieważ mu zawsze powiedała, żeby wołała śmierć niżeli grzech.

Zmyśla tedy Likaon, że do obozu odjeżdżał i pożegnawszy się, w zamku przez 20 dni nie postał, a tymczasem sposobnych do takiego dzieła dwóch sług upatrzwszy i sekretem ich związawszy, przyznał się, że myślał na wojnę opatrzyć się i ich wspomóc fortuną przyjaciela swojego Charydona, czego niepodobna było dokazać, ażby Charydon zginął. Namawia owych sług, aby na to odważni byli, podbijając im, że podczas wojny domowej, kiedy sprawiedliwość i prawo ustać musi, choćby się coś wywinęło, to wszystko w zapomnienie iść miało i amnestyją, a potem łatwo się z tego wynieść obiecywał, podając sposób obwinienia Charydona, że był zdrajcą królewskim, to mówił, że wszystko ujdzie.

Więc dnia jednego Charydon z drogi pojechawszy i strudzony, prosił żony Kloryną nazwanej, aby wieczną w czas kazała dać, chcąc zawczasu uspokoić się. Stało się tak jako chciał Charydon. Gdy się tedy wszyscy do spania rozeszli, aż głęboko w noc kołącą do zamku. Był w stajni czeladnik albo raczej masztalerz, który się jeszcze koło

koni bawił. Ten przyskoczywszy do bramy, usłyszawszy, że Likaon kołace, dał znać panu, który dawszy mu klucze, kazał zwód spuścić i jako przyjaciela samotrzeć wpuścić. Klorynę, żonę, obudzić kazał, prosząc jej, aby wdzięcznym, jako rozumiał, gościom rada była, wymówiwszy go, że z drogi sturbowany dziś się z nimi nie mógł cieszyć, na jutro ludzkość swoją odkładając. Uczyniła to wiernie Kloryna i sama do kuchni pobiegła pobudzić kucharki, aby wieczszą gotowali, sama stół z lokajami ułożyła. Oni zaś bardziej o noclegu myśleli, pokazując, że i oni strudzeni, aniżeli o jedle. A gdy piwniczny nierychło się wpiersopy pokazywał, wyświadczać ludzkość, z owymże lokajem do piwnicy po wino [ze] świecą poszła. Zażył tej okazji Likaon i na palcach za nią pobieżawszy, zadmuchnąwszy świecę i tak ochotną gospodynią i uciekającego lokaja zabił.

Wróciwszy się, dał znać owym niecnotom swoim namówionym, że już gospodyni poległa, poczęli tedy radzić, czy się do sług pierwej, czy do gospodarza udać. Gospodarza tedy najpierwej znieść uradzili, którego położywszy, już im miało być łatwiej z innemi sobie, jako chcieć postąpić. Charydon bezpieczny, jako pewny przyjaźni Likaona spał, nie zamknąwszy drzwi w pokoju, do którego owi zbójcy idąc, szli podle tej izdebki, gdzie Lukrecyja z inną dziewczką spała, która żeby się jakimkolwiek sposobem przy hałasie z zamku nie wymknęła, z wierzchu drzwi na skobel założyli. Ona brząkiem skobla obudzona, słysząc, że ich ktoś z wierzchu skoblem zamyka, wołać poczęły, nie wiedząc o niczym, którym hałasem Charydon się obudziwszy, w koszuli tylko, szpadę porwawszy, szedł ku drzwiom, a w tym go Likaon przyjmie gołą szpadą. Bronić mu się począł dobrze i jednego z nich pchnął głęboko i od siebie zraził, ale gdy drugi był zaraz w niego strzelił, zaraz poległ.

Owym strzeleniem pobudziła się druga czeladź. Jeden czeladnik Binet zwany, chorując porwał się z łóżka, chcąc wiedzieć, co się dzieje, ale i tego zaraz jeden go pchnąwszy, uśpił. Chciał Likaon i synaczka dwuletniego leżącego w kolebce zabić, ale go inni współzbójcy odprosilili. Tak, kto się tylko pokazał, zabijali. Wybiwszy przecz sług, wrócił się do owych dziewczek zamkniętych, które bardziej umarłe niż żywe były. Najpierwej tedy ów Likaon do owej Lukrecyji, dla której się to wszystko działo, porwał ją i o łóżko uderzył. Pasowała się z nim długo, ale ją zmordowaną i wołającą przełamał i zgwałcił, która rycząc prosiła, żeby ją i zabił, kiedy jej skarb nieoszacowany wydarł, ale jej



jeszcze sfolgował niewstydnik. Wpadli i do kuchni i tam także kucharkę zgwałciwszy, zabili. Toż i owej kompance Lukrecyji, która przy niej spała, uczynili. Poszli potym do stajni szukać owego masztalera, który się tak dobrze w siano zagrzebł, że choć go szpadami sięgali, żaden go jednak nie dosięgł.

Już nikt w zamku samym nie żył, prócz Lukrecyji, do której się Likaon wrócił. Upadła mu do nóg, prosząc go na Boga, żeby ją albo zabił, albo dał jej więcej niewstydom pokój i gdy się nóg trzyma, taki ją żal wziął i serce ścisnął, że jej oczy aż na wierzch wysadził i mowę jej odjął bez żadnego życia znaku. Wtym studzy kołatać do owej izdebki poczęli, wołając, że już czas zrabować zamek, ponieważ już dniało. Likaon, żeby ją był zupełnym trupem zostawił, kilka razy ją w piersi szpadą pchnął i dobił. Wszystkie pokoje zrabowano, co najdroższego ze srebra, złota i klejnotów zabrano. Poszli znowu do stajni, jeszcze pilniej kardeta szukając, ale gdy go żadną miarą znaleźć nie mogli, konie tylko, co najlepsze zabrawszy, wyjechali, przywarszy zamkowe wrota i manowcami jechali.

Gdy słońce wstało, ba, już i dzień dobry był, ludzie poblizsi widząc, że nikt z owego zamku nie wychodzi, dziwowali się, że tak długo na dzień wszyscy spali, aż gdy już południe było, a nikt nie wychodził, dziwując się, że wrota tylko przywarte, wyprawili jednego z między siebie odważniejszego, który łaża\* wszedłszy, gdy trupów tak wiele znalazł, wypadłszy, oznajmił im, co się działo. Pobiegli po urząd do bliskiego miasta, który nie mógł nic więcej zrobić, tylko rewizyją uczynił ciał rannych i skrzyń, i szaf, i wszystko spisawszy, odszedł.

Mieli zaraz na Likaona suspyciją, ale dowody trudno mieć było, ale kiedy kardet z siana swojego wylazł i do urzędu poszedł, on o wszystkich, którzy to zrobili urząd informował, ale, cóż, trudno go w ten czas było łapać, sądzić i karać, kiedy wojna domowa wrzała. Musieli tylko ciała pochowawszy, dać pokój, ale Pan Bóg nie zapomniał tego, bo niedługo potym, gdy Henryk III przeciwko księżęciu Gwizyzuszowi wojnę począł, Likaon dał mu słuszną pomoc i pięknie się i chwalebnie stawił. Od jednego przyjaciela Charydonowego o zabicie jego i całą tę tragediją oskarżony, król go do parlamentu odesłał, który się zupełnej prawdy domacawszy, kazał go żywego w koło wpleść.

---

\* łaża (właśc. łązak) – szpieg.

## 3 (85)

We Francji była bardzo zacnych rodziców panienka imieniem Floryda, o którą się starał równego urodzenia i talentów kawaler Lucydamor przezwiskiem. Więc, że się należytem sposobem o afekt oboje starali, oboje się w sobie zakochali bardzo, z pozwoleniem i wolą rodziców, którzy radzi byli takiemu zięciowi w domu swoim, nie widząc pożądanższego postanowienia, zwłaszcza, że tak wielkie domy w koligacyją wchodziły.

Tymczasem, gdy się o pannę Lucydamor stara, przyjeżdża wielki jego przyjaciel, baron Kloryzand ze Włoch, w których był na peregrynacyji. Przychodzi w dom Lucydamora, wita go po przyjacielsku i według dawnej konfidencyji. Między innemi rzeczami opowiada mu się z fortuną swoją, którą już miał na pogotowiu, postanowienia z Florydą, której że miał portret prawdziwy, pokazał mu damę, a żonę swoją przysłą, malowaną, którą jak obaczył Kloryzand, począł mu jej w sercu swoim zazdrościć, nie pokazując jednak płomienia, który się był nieszczęśliwie zapalił w sercu jego, nie tylko mu tej fortuny powinszował, ale jako przyjaciel, ale zdradliwy, obiecał mu sam do tego postanowienia służyć i jako przyjaciel w dom Florydy wprowadzony, bywał tam często, promowując niby Lucydamora, a tymczasem damie się przypatrując, w którą im się bardziej wpatrował, tym więcej życzył sobie tego w rzeczy samej, co słowy na Lucydamora targował. I dokażał tego zdradziecką swoją figurą, że panna jako przyjaciela przyszłego swego i tak kochanego męża, Lucydamora, pięknie przyjmowała i traktowała należycie, gotując sobie na dalszy czas przyjaźń jego oraz z Lucydamorem, który przed Florydą wiele dobrego powiedział o Kloryzandzie czego na swoją imprezę lekko zażywał Kloryzand, o tym tylko myśląc, jakoby jego Floryda była, nie Lucydamora.

Ale że postrzegł, że panna była cała Lucydamora, myśleć inaczej począł, uważywszy sobie, że było niepodobna wykurzyć Lucydamora z serca Florydy, o Lucydamorze myśleć począł, aby go zgubiwszy, dopiero na pooranym od kogo innego polu siać swoją fortunę. Długo tedy nie bawiąc się, umyślił go zabić i sposób taki znalazł. Wiedział o jednym słudze swoim, który był do takich rzeczy sposobny, Maubrun nazwany. Jego przepłaca i korumpuje słusznemi pieniędzmi, aby się podjął Lucydamora zgładzić z świata i zaraz mu sposób podaje. Chadzał z Lucydamorem Kloryzand często do pewnego lasu, jako

przyjaciele na konferencyje, w tym lesie tedy Maubrunowi zasadzić się kazał i dawszy mu dzień pewny, zabić go. Wprowadziwszy go tedy w głęboką gęstwinę i śpiewać począwszy (co było znakiem zasadzonemu zbójcy do strzelenia), tym sobie więcej obowiązał Lucydamora, że sobie z nim poufale poczynał. Usłyszał śpiewanie zasadzony zbójca i upatrzwszy Lucydamora, jak się od niego, niby zioła pewne zbierając, odemknął Kloryzand, strzelił, i że go dobrze nie trafił, przypadszy jeszcze, leżącego w głowę ciął i zabił. Skoczyła czeladź Lucydamora, skoczył i Kloryzand i niby się z szpadą za zabójcą puściwszy, przestrzegł go jeszcze lepiej, gdzie miał uciekać. Wróciwszy się niby z owej pogoni, krokodylem się uczynił, padł na zabitego przyjaciela ciele, ale uważała czeladź, że wiele razy się zbliżył do ciała, tyle razy z owych ran, jako fontanna krew buchała, co i Kloryzandowa czeladź uważała i na sympatyją to przyjaźni ścisłej składali.

Rozniósł się ten przypadek i doszedł do uszu Florydy, która jako bolała, będąc szczerym przyjacielem Lucydamorowi, każdy domyślać się może i z żalu ciężkiego postanowiła była, gdy ją to postanowienie minęło, być mniszką. Kloryzand już tego dokazawszy, starać się począł, żeby się to było, kiedy nie wyjawilo, umyślił tedy był owego zabójcę znieść z świata, wiedząc, żeby mu to do intencji jego wiele przeszkadzało. I przeto drugiego sługę przepłaca, aby ułożywszy na Maubruna pewną zdradę, znalazzszy sposobność, zabił go.

Przepłacony ów sługa podjął się tego i upatrzwszy raz czas, Maubruna z sobą na polowanie wzięwszy, gdy polują, a darmo, zmordowany Maubrun nie bojąc się niczego, bezpiecznie pod pewnym drzewem zasnął. Rad był temu ów przekupień i przyszedszy cicho do niego, już był sztyleta dobył zabić go, ale go i sumnienie, i żal jakiś tak zwał, że go nie tylko nie zabił, ale go jeszcze z puinałem dobytym obudziwszy, prosił go, aby mu to darował, co miał uczynić, ale nie uczynił, że go miał zabić i wszystko wypowiedział, jako go na to Kloryzand namówił i przekupił. Podziękował mu za to Maubrun i następując na Kloryzanda, i żaląc się na niego, wydał mu wszystko, jako z jego namowy Lucydamora zabił. W radę tedy poszli, uradzili, żeby się ów sługa wrócił do pana i powiedział, że Maubruna zabił, a Maubrun miał iść, gdzie go oczy ponieść miały.

Ciesz się tedy Kloryzand, że mu się rzeczy szykują i zażywa do Florydy pogody, coraz jej się na miejsce Lucydamora wkradając, ale panna jako rozumna umiała to utrzymać. Gdy tedy Maubrun z lasu

wyszedszy, idzie, gdzie go oczy niosą, fortuny szukając, w polu, za jedną wsią napadł na sługę jednego Lucydamorowego, którego przy tak częstym panów swoich widzeniu znał bardzo dobrze. Wdali się z sobą w rozmowę, przyszło do tego, że on przeszłego pana swego sprawkę, jad już mając na niego, wydał, że go zabić kazał, opowiedział i przyznał się, że on przekupiony Lucydamora z woli Kloryzanda zabił. Zabolalo serce wiernego sługę, ale że był bez broni, a ten zbrojny, w świat idący, zduć\* mu nie mogąc, rozszedł się z nim i ten w swoją, a ten w swoją drogę pojechał. Dojechawszy ów sługa do wsi, kazał go szukać, ale go znaleźć nie mogli.

Więc jako dobry i życzliwy, choć umarłemu panu, sługa idzie stamtąd do Florydy, która obaczywszy go i przypomniawszy sobie, że tak wiele razy kartki nosił od Lucydamora do niej, łzami się zalała i tylko te słowa rzekła:

— Miły Boże, tyś dobrego pana stracił, a ja przyjaciela i męża, nie będąc jeszcze za nim, owdowiałam. Przeciebym nie tak żałowała, gdybym wiedziała, kto go zabił, bobym się przynajmniej zemstą ukontentowała.

Aż on sługa rzeczce:

— Z tym ci ja do ciebie przychodzę.

Wszystko jej tedy wypowiedział, jako się od Maubruna dowiedział, że go on zabił z rozkazu Kloryzanda. Za tę nowinę zaraz mu bogaty łańcuch z siebie darowała i płakać, serdecznie bolejąc, poczęła, a jako zwyczajnie bywa, wielki ból w wielką się złość obraca, dawszy pokój Lucydamorowi, którego utraciła, wszystkie myśl na Kloryzanda obróciła, jakoby się zemścić Lucydamora nad nim mogła i gdyby go miała na dorędziu, to by go była pazurami rozdrapała, ale że była złość białogłowska, przytłumiła go w sobie, alembik wewnętrzny jadem dobrze nabiwszy. Namawia tedy sługę, żeby milczał, a jeżeli co miał miłości ku panu zabitemu i ku niej, aby był gotowy pomóc jej zemścić się krwi Lucydamorowej i obiecała mu to nagrodzić. Obiecał jej usługę swoją ów sługa i tak go puściła od siebie.

Kloryzand tymczasem rozumiejąc, że już kuropatwa pod siecią bywa u Florydy, wszystkimi się sposobami stara, aby był na miejscu Lucydamora. Owa wrzкомо przyjmuje jego afekty, w sercu myśląc o czym innym i z owym sługą Lucydamorowym namawiając się, umyśliła

---

\* zduć — przemóc

w złości sztukę dziwną na Kloryzanda, której instrument przez owego sługę wyrobiła. Gdy już rzecz miała gotową, pisze kartkę do Kloryzanda pewnego upatrzonego dnia w ten sposób: „Rozumiem, że chociaż jużem była słowem obowiązana Lucydamorowi, że jednak śmiercią i dopuszczeniem Boskim z tego słowa i obligacyji wywiązana jestem, żem wolna do obrócenia afektu swego do tego, kto mi się podobać będzie, a że widzę i uznawam cię być wiernym przyjacielem nieboszczyka Lucydamora, chcąc mu i po śmierci dotrzymać przyjaźni, afekt swój do ciebie obracam, co żebyś lepiej ze mnie zrozumiał, daję ci randewu jutro raniusieńko, żebyś przyszedł do ogroda naszego domowego, znajdziesz drzwi na to otwarte, tam a tam, wszystko w ten czas, wszystko moją myśl wyrozumiesz”. Co rozumiesz, jak lizał tę kartkę Kloryzand, nie wiedząc, że ten powabny miód był jego trucizną.

Całą noc od radości nie śpiąc, raniusieńko przychodzi do ogroda, w którym ów sługa był utajony i gotowy czynić, co mu każe Floryda. Owa sama w wieczór z nim ową machinę wyrobioną w pewnym pokoiku w wieczór składa, prosząc go, aby o tej a o tej godzinie fortę otworzył i utaiwszy się, dopiero do niej przybył, kiedy ją obaczy w ten pokój wchodzącą. Jutro raniusieńko wstała sama Floryda i zastawszy drzwi otwarte, czeka Kloryzanda, który żeby był nie omieszkał, także spieszył i pannę gotową zastał, rad [tego], czego potym wkrótce na wieki miał żałować. Jako obaczyła Floryda, zdradnie ułożyła twarz w przyjaźń, za rękę go weźmie i tylko mu to rzecze:

— Żebyśmy wolniej i stateczniej o namienionej materji mówić mogli, aby nas kto nie wysłuchał, idźże tam do tego pokoiku, a ja drzwi zamknę, żeby kto nie wszedł.

Rozumiał, że prawda, Kloryzand i prętko do pokoiku wbiegł, w którym jak prętko próg przestąpił, tak machina spuściła się i tak mu nogi i ręce poplątała, i całego jego, że się ruszyć nie mógł. Weszła za nim Floryda, wszedł i ów Lucydamorów sługa, dopiero kiedy go uplątanego widziała, który nie wiedział, co się z nim dzieje i im się bardziej mocował, tym się tężej wiązał.

— Tuś mi ptaszku — rzecze — a wiesz, coś porobił?

Kazała mu tedy wszystko owemu słudze wypowiedzieć. Struchlał, usłyszawszy to, Kloryzand, a ona jako harpia przypadszy, całą twarz tak mu pazurami podarła, że kawalce wisały z twarzy. Począł Kloryzand wrzeszczeć, ale ów sługa knybel mu w gębę włożył i przydusił. Dopiero dobywszy noża, w podłóż mu oczy przerznął i wylupiła ostatki, co

wypłynęło, nos mu i uszy urżnęła i z pomocą owego sługi zęby mu kleszczami powyrywała, paznokcie z nóg i z rąk powydzierała, żywemu dopiero palce po jednemu ucinała. Rzucił się Kloryzand, a im się bardziej rzucał, tym bardziej się ścisnął, a ona ze wszystkimi częściami ciała, suknie z niego zdarszy, co chciała to robiła, dziwnie go katując i rozpalonemi węglami go piekła, a jak się zmordowała, to mu Lucydamora wymawiając, łacinę prawiła. Dopiero kiedy już słońce miało wstawać, większego noża wzięwszy, piersi mu rozerżnęła i dobywszy serca, w ogień go wrzuciła. To wyrobiwszy, dawszy owemu słudze pomocnikowi sto talerów, wypuściła go z ogrodu i jakby otworzoną bramą kazała mu uciekać.

Zamknąwszy furtę do ogrodu, wróciła się do pokoju swojego i swoją ręką tę historiją napisawszy, na dorędziu kartę położywszy, truciznę nagotowaną z wodą sobie rozprawiwszy wypita i położyła się na łóżku. Gdy już bez żadnego żalu za grzechy trucizna swój skutek czynić poczęła, jęczyć i ryczyć poczęła. Wpadła sługa do jej pokoju i do łóżka przypadła, ale tylko ostatnie jej ziewnienie zaskoczyła. Poczęła owa sługa wołać, wszyscy się z łóżek porwali, osobliwie rodzicy. Obaczyli papier, który gdy przeczytał ociec w uszach wszystkich, jako Kloryzanda zmęczyła, jako siebie otruła, pobiegli do owego pokoju i znaleźli trupa umęczonego między postronkami i sprężynami. Sprowadzono magistrat, który wszystko opisał. Chcieli krewni Kloryzanda coś na rodzicach jej ugonić, ale ich parlament wolnymi uczynił, a Maubrun coś był gdzie indziej zrobił, uchwycony, na męki dany, przyznał się do tej robótki swojej, to jest śmierci Lucydamora, za co w koło go żywo wpleciono.